



Kryminał z myszką

77

Złociсты *przegrywa*

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

ZŁOCISTY PRZEGRYWA

Kryminał z myszką – Tom 77

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-11-2

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1980, seria „Labirynt”

Rozdział 1

– Nie – powiedział major Szczęsny. Potrząsnął głową i powtórzył: – Nie.

Szef służby kryminalnej przyglądał mu się chwilę z miną niezdecydowaną. Odkąd Szczęsny, zresztą wskutek pewnego zbiegu okoliczności, przeszedł do niego jako podwładny, szef nie mógł jeszcze odpowiedzieć sobie na pytanie: dobrze to – czy nie bardzo. Cenił w majorze odwagę, graniczącą nawet z ryzykanctwem (czego nie pochwalał, ale co mu się skrycie podobało), doceniał doświadczenie w rozwiązywaniu trudnych spraw kryminalnych, lubił go za koleżeńskość i poczucie humoru.

Ale kiedy w myślach kładł to wszystko na jedną stronę szali, zaraz druga mocno ciągnęła w dół. Bo Szczęsny bywał trudno poskromionym indywidualistą, potrafił długo nie przyznawać się do najcenniejszych uzyskanych przez siebie informacji, aby potem zaskoczyć nie tylko kolegów, ale i samego szefa, a nawet wyżej. Wówczas „tam wyżej” ktoś się zastanawiał: przydzielić nagrodę, dać awans czy obruścić.

Szczęsny awansował rzadko i niechętnie.

– Może mi jednak wyjaśnisz (na „ty” przeszli kilka miesięcy temu, z okazji Nowego Roku), dlaczego uparłeś się, że to jest akurat tam. – Szef stuknął długopisem w rozłożoną przed nim mapę. – Równie dobrze może być w stu innych miejscach.

– Nie – powiedział Szczęsny po raz trzeci. A widząc podejrzaną błysk w oczach zwierzchnika, skupił myśli i zaczął wyjaśniać: – Po pierwsze, kobieta, która mieszka w pobliżu łąki, widziała w nocy światło. Poruszało się w kierunku od szosy do lasu. Można sądzić, że ktoś szedł przez łąkę i świecił sobie latarką. Po drugie, tego samego dnia, kwadrans przed północą, jechał szosą rowerzysta z sąsiedniej wsi i zauważył samochód z wygaszonymi reflektorami, zaparkowany na poboczu tejże szosy. Pomyślał, że jakaś parka udała się na zabawę do lasu. Niestety, rowerzysta nie zapamiętał marki wozu ani numeru i trudno mieć mu to za złe. Po trzecie, Brodzki, ten zaginiony, mówił u siebie w biurze, że na wolną sobotę i niedzielę wybiera się do Czarnkowa. Miał tam krewnych. Czarnków, taka duża gmina, leży parę kilometrów od łąki, którą ci zakreśliłem na mapie. Łąka i pobliskie ugory liczą około dwunastu hektarów. Po jednej stronie szosa, po drugiej las. Minął miesiąc od dnia w którym Brodzki zaginął. Kilka dni temu dostaliśmy anonim. Masz go na biurku.

Pułkownik zamyślił się. Anonimowy informator zawiadamiał, że Adolf Brodzki został zamordowany, a zwłoki ukryto na łąkach niedaleko Czarnkowa. Pismo było maszynowe, papier zwykły, stempel na znaczku zamazany, ale dało się odcyfrować pocztę w Olsztynie. Żadnych śladów linii papilarnych na liście, koperta i tak przeszła przez kilka rąk. Znaczek naklejono, posługując się wodą z kranu, nie śliną. Wszystko razem mogło co najwyżej wskazywać na nadawcę trochę oblatanego w sprawach kryminalnych. Ot, tyle co „Kobry”.

– Chcesz przekopywać dwanaście hektarów?

– Nie – Szczęsny powiedział to po raz czwarty i ostatni. Teraz miało być wszystko na tak. – Chcę odnaleźć zwłoki za pomocą termowizji. Potrzebuję termowizora AGA-sześćset osiemdziesiąt i samochodu z odpowiednio mocnym dachem. Musi utrzymać nie tylko dwadzieścia pięć kilo aparatury, ale i człowieka. To znaczy mnie.

– Umiesz się z tym obchodzić?

– Mniej więcej. Znam zasady obsługi i mam trochę praktyki. Byłem na Śląsku, zanim tutaj... – objaśniał z roztargnieniem. – Tam mają obie AGI, to znaczy sześćset osiemdziesiąt i siedemset pięćdziesiąt. Ta druga jest o wiele lżejsza, można ją nosić, ale tu mamy do czynienia ze zbyt wielką przestrzenią, więc potrzebny samochód. Załatwisz mi to na jutro? Wezmę lekarza i Andrzeja Gniazdowskiego, jeżeli pozwolisz. Samemu byłoby mi trudno.

– Spróbuję – odparł szef, prawie przekonany. – Poproszę o termowizor z Instytutu Kryminalistyki.

Ekspert z Instytutu Kryminalistyki, kiedy dowiedział się, że ma wypożyczyć „komuś” termowizor, powiedział stanowczym tonem: „Po moim trupie!” i zażądał przydzielenia go do ekipy. Szczęsny był nawet zadowolony; taki świetny fachowiec, jakim był docent Kraszewski, mógł tylko pomóc, a nie przeszkodzić. Zdawał też sobie sprawę z ceny dewizowej aparatury i rozumiał obawy eksperta.

Z tym wszystkim jednak wyjechali dopiero w parę dni później, bo docent przypominał, że termowizja jest jak cieplarniana roślina – potrzebuje odpowiednich warunków, aby mogła spełnić swoją rolę. Najlepiej lubi dni chmurne i po deszczu. Jak na złość deszcz nie zamierzał padać. Szczęsny denerwował się, stukał w barometr, w końcu przestał wierzyć meteorologom. Zapewniali, że już dawno powinny być „opady ciągłe”, ale jakoś nie chciały. Wreszcie major poszedł wieczorem za miasto, stwierdził, że nie ma rosy, a psy jedzą trawę i orzekł: „Będzie deszcz!”

Lało przez całą noc. O piątej rano Szczęsny zerwał z łóżek swoją ekipę; dzień wstał pochmurny, akurat w sam raz dla termowizji. Wyruszyli przed siódmą, w dwa samochody, jeden zwykły, drugi z AGA-680, owiniętą starannie w grubą folię i umieszczoną wewnątrz specjalnej ciężarówki. Docent usiadł obok, mruknął: „A iż cię nie opuszczę aż do śmierci...” – czym zirytował kierowcę. Sierżant nie lubił takich uwag przed jazdą.

Szczęsny prowadził służbowego fiata 125. Na tylnym siedzeniu ulokował się lekarz medycyny sądowej, wesoły, czarnooki, namiętny brydżysta Janusz Pawłowski. Przy majorze siadł kapitan Gniazdowski, szczupły, nerwowy, teraz jeszcze bardziej, bo niedawno przestał palić i wciąż nie mógł się z tym uporać. Koledzy radzili, aby żuł gumę lub jadł cukierki. Szczęsny lubił go i cenił. Andrzej był szybki w robocie, bystry, miał tak zwane „rozległe horyzonty” myślowe, wiele czytał, zebrał też niemałe doświadczenie w pracy milicyjnej.

– O której tam będziemy? – spytał.

– Powinniśmy za trzy godziny – odparł Szczęsny. – Ja bym mógł szybciej, ale tamci nie. Docent zaraz krzyk podniesie, że mu się AGA wytrzęsie. Nie wiem, może ma rację. To cholernie drogi aparat. Pracowałeś już z termowizją?

– Nie. I dlatego jestem ci wdzięczny, że mnie zaproponowałeś do ekipy. Chciałbym, żeby się nam udało. Powiedz mi, tak w dużym skrócie, jak to działa. Znam termowizję tylko z teorii i dość pobieżnie. Wiesz, na co dzień nie mamy z tym do czynienia.

– Dobrze, ale naprawdę w skrócie, bo inaczej musiałbym mówić parę godzin. Więc termowizja to pasywny układ podczerwony. Obiekt, który obserwujemy, wysyła promieniowanie, które termowizor wykorzystuje i przetwarza. Różnice w intensywności emisji promieniowania podczerwonego umożliwiają widzenie danego obiektu na ekranie termowizora. Wytwarza się taka jakby mapa cieplna, która daje obraz jakiegoś kształtu, powiedzmy: zarys ciała ludzkiego. Na ekranie widać różnicę barw, na przykład inną barwę mają zwłoki, inną ich otoczenie, a więc gleba, roślinność.

– Mówisz o zwłokach zakopanych w ziemi?

– Tak, ale nie tylko. Może to być łąka czy pole, ale może i stara hałda węgla, nieużywane żwirowisko, las. Rozumiesz, na dużych przestrzeniach musimy się posługiwać innymi metodami wykrywania niż łopata, w sytuacji kiedy nie wiemy dokładnie, w którym miejscu ciało zostało ukryte.

– Rozumiem. Nowa technika polega na tym, że szukamy nie bezpośrednio zwłok, lecz takiego miejsca, w którym gleba została wyraźnie poruszona wskutek obecności w niej ciała. Słuchaj, to przecież mogą być pomyłki! Ktoś zasypał dół... albo zakopał zdechłego psa.

– Oczywiście. Ekran nie pokaże ci nieboszczyka z bródką i pryszczem na nosie. Po prostu w ziemi zmieniony został stan emisji promieniowania podczerwonego wskutek procesów termochemicznych, biochemicznych, wskutek naruszenia spójności gruntu i tak

dalej. Zmieniła się roślinność na powierzchni, zwłaszcza ilość pigmentu w liściach. Korzenie, uszkodzone wskutek kopania, inna zawartość wody w roślinach – to wszystko powoduje zmianę współczynnika emisji i temperatury roślin. Pewnie, że możemy znaleźć zdechłego psa. – Szczęsny ostro skręcił w lewo, aby wyprzedzić wlokącą się furmankę. – Czy w naszej robocie zawsze szedłeś na pewniaka?

– Rzadko kiedy – przyznał Andrzej. – Do czego jeszcze można wykorzystać termowizję? – mam na myśli kryminalistykę.

– Do zdalnej obserwacji żywych istot. Do wykrycia śladów ciepłych na przedmiotach, których ktoś niedawno dotykał. Do stwierdzenia, że w danym pomieszczeniu ktoś niedawno przebywał. Do bezkontaktowego przeszukania osoby, ukrywającej przy sobie broń. Różne cuda można robić za pomocą termowizji. Pamiętam, była taka sprawa. Jakiś przestępca użył do zabójstwa pistoletu, zabranego ze zbioru różnych typów broni, to było małe muzeum czy coś takiego. Potem szybko wyczyścił pistolet, a zrobił to bardzo dokładnie, no i powiesił go na ścianie w tym samym miejscu. Sprawa była ciężka do udowodnienia, użyto termowizji. Po kilkunastu godzinach broń była oczywiście zupełnie zimna przy dotknięciu, ale ja widziałem zdjęcie termalne tego pistoletu! Cholera, mówię ci, aż mnie zatkało. Wśród mnóstwa różnych rewolwerów, pistoletów, automatów i czego tam jeszcze, ten jeden dawał wyraźny obraz. Kiedy zabójcy powiedziano, dosłownie wskazano palcem na broń, której użył, facet załamał się i przyznał.

– Pewnie. Cóż mu innego pozostało.

Jechali czas jakiś w milczeniu. Doktor Pawłowski, zagłębiony w porannej prasie, odłożył gazetę, rozejrzał się po okolicy i spytał z pretensją:

– Gdzie ta łąka?

Wybuchnęli śmiechem. Przejeżdżali właśnie przez miasto.

– Zbudziłeś się? – Szczęsny zwolnił przed czerwonym światłem.

– Czytałem. Bajtlowaliście o tej termowizji... Daleko jeszcze?

– Nie. Połowa drogi.

Lekarz ziewnął, przeciągnął się.

– Staniemy gdzieś na kawę? Nie spałem w nocy.

– W karcioszki się rznęło, tak?

– A coś myślał! Dwa razy szlema zrobiłem, wyobrażacie sobie? Dwa razy.

Zatrzymali się przed hotelem, kawiarnia była otwarta. Docent Kraszewski miał obiekcje: zostawić AGE?! W końcu Szczęsny ulitował się i przyniósł mu do samochodu szklankę kawy, bułkę z kiełbasą, nawet dwie papierowe serwetki.

– Dbacie o personel – mruknął ekspert. – A sierżant? Siedzi z wami?

– Jasne. Przyjdę potem po tackę.

Przed południem zajęchali do Komendy Wojewódzkiej w Olsztynie. Pułkownik był uprzedzony, czekał na nich i postanowił osobiście wziąć udział w przeszukaniu terenu. Jak dotąd, termowizorów w komendach nie mieli. Zaprosił ekipę do gabinetu, aby ustalić co i jak. Łąki pod Czarnkowem były parokrotnie przebadane uważnymi oczami kilkunastu milicjantów, użyto też psa o specjalnie wyczulonym węchu na obecność martwego ciała. Nie znaleziono żadnych śladów kopania.

– Jest koniec maja – powiedział docent. – Trawa i w ogóle roślinność rośnie szybko, bujnie, więc jeżeli zakopano zwłoki dwa, trzy tygodnie temu, oko ludzkie nie zauważy zmian na powierzchni łąki. Dawno już to miejsce zarosło.

– Rozmawialiśmy jeszcze raz z kobietą, która widziała błyski latarki – zwrócił się komendant do Szczęsnego. – Zdaje się, że jest to świadek, który nie posiada wybujałej wyobraźni i nie zmienia swoich zeznań. Cenny świadek. Natomiast rowerzystę zaczyna ponosić fantazja. Już teraz podaje nie tylko markę samochodu, ale nawet numer rejestracyjny... Sprawdziliśmy zresztą. Nic się nie zgadza, nie ma takiego zestawu liter i cyfr.

– Brodzki jechał podobno do krewnych w Czarnkowie. Czy dojechał do nich? – spytał Gniazdowski, pobieżnie tylko znający sprawę.

– Oni twierdzą, że nie. W ogóle się go nie spodziewali, ale zdarzało się już, że przyjeżdżał bez zapowiedzi. Brodzki odwiedzał w Czarnkowie siostrę i jej siedmioletnią córkę. Siostra nazywa się Karczewska, jest wdową od paru lat. Prowadzi mały sklep warzywno-owocowy. Wiecie, majorze, wczoraj otrzymałem interesujące informacje o Karczewskiej. Proszę – podał Szczęsnemu. – Oczywiście, anonim. Można jednak sądzić, że nadawca dość dobrze orientuje się w sprawie, o której pisze.

Szczęśny przebiegi oczami kartkę papieru i, odkładając na biurko, rzekł w zamyśleniu:

– Może to być prawda, ale może też insynuacja. Nietrudno powiedzieć o kimś, że ma złoto i biżuterię. Wolno mieć. Czy autor anonimu widział chociaż jedną dziesiątą tego skarbu? Nie podaje żadnych istotnych szczegółów, wymienia tylko duże ilości pierścionków, obrączek i czego tam jeszcze. Karczewska „ma”, i to wszystko. Skąd ma? Może w spadku po rodzicach? Gdzie ukrywa? Ja bym wolał się dowiedzieć, czy Brodzki rzeczywiście nie dojechał do Czarnkowa. Gdyby go znał i gdyby zapamiętał ktoś z pasażerów pociągu czy Pekaesu... Ciekawe, dlaczego nie wziął swojego samochodu.

– Miał samochód?

– Fiata. Stoi na parkingu w pobliżu domu, gdzie Brodzki mieszkał. Właściwie nie mamy żadnej pewności, że facet nie żyje. Był rozwiedziony. Podobno ta eks-żona sprawia mu sporo kłopotów, nachodzi go, domaga się pieniędzy. Może prysnął od niej w siną dal.

– A biuro?

– To spółdzielnia. Był wprawdzie naczelnikiem wydziału produkcji, ale okazuje się, że to stanowisko było fikcją. Przynajmniej w praktyce. Zjawiał się na godzinę raz, dwa razy w tygodniu, całą robotę prowadził jego zastępca. Wydaje mi się, że po prostu Brodzki potrzebował świadectwa zatrudnienia, tak bym to określił A w rzeczywistości robił zupełnie co innego i gdzie indziej. Prezes tej spółdzielni od paru miesięcy choruje, dwaj wiceprezesi próbowali mi wytłumaczyć, że Brodzki wykonywał dla spółdzielni jakieś ogromnie ważne zadania w terenie, dotyczące zamówień, przydziałów, kredytów... Cała ta historia wygląda trochę dziwnie. W tej chwili koledzy z wydziału przestępstw gospodarczych przyglądają się bliżej spółdzielni „Malwa”, bo tak się nazywa.

– Co ona produkuje?

– Mnóstwo poszukiwanej galanterii, od guzików począwszy, a na parasolkach skończywszy. Nie zajmowałem się tym, nie moja parafia. Jeżeli są pewne poszlaki, że Brodzki został zamordowany, muszę je sprawdzić. Jeżeli się okaże, że przyczaił się gdzieś na drugim końcu Polski, moja rola skończona.

– No, to niech się wreszcie zacznie moja – odezwał się ekspert, któremu pilno było do AGI. – Jedziemy?

Dopóki znajdowali się na szosie, termowizor był schowany w wozie, aby nie wzbudzał zbyt dużego zainteresowania przypadkowych podróżnych. Potem minęli Czarnków, wjechali na łąki, oddalili się od drogi kilkadziesiąt metrów i docent Kraszewski zatrzymał samochód. Zaczęła się na pozór prosta, lecz wymagająca dokładności operacja umocowywania aparatury na dachu ciężarówki. Pułkownik i Andrzej przyglądali się temu z zainteresowaniem.

– Jaki jest zasięg widoczności kamery? – spytał komendant.

– Do kilku kilometrów.

– Zasilanie z akumulatorów samochodu?

– Tak. Albo z sieci, jeżeli jest takowa w pobliżu.

– Może pan obserwować, kiedy wóz jest w ruchu?

– W zasadzie tak, ale lepiej, jeżeli stoi. W trakcie jazdy mogą być zakłócenia.

Przebadamy jeden odcinek terenu, podjedziemy kawałek i będziemy szukać w następnym. –

Rozejrzał się dokoła, pokiwał głową. – Łąki, pastwiska, może i las. Ale tam dalej widzę ogrodzenia, chyba na pastwiskach. Są podzielone?

– To się odsunie barierki – zniecierpliwiał się Szczęsny. – Żaden problem. Rowów nie ma?

– Tutaj nie – odparł pułkownik. – Z tamtej strony pastwiska, ale jest grobla. Przejdziemy.

Ekspert zręcznie wspiął się na dach, wyregulował wysokość aparatu, obrócił kamerę okiem na rozległe łąki, na chwilę zajął się kablem łączącym ekran z kamerą, po czym znieruchomiał przed monitorem jak celowniczy na polu bitwy przed armatą. Pułkownik stanął na drabince, przezornie zabranej z komendy i opartej o samochód. Przyjrzał się płycie czołowej aparatu i spytał:

– Gdzie jest przełącznik, który uruchamia termowizor?

Ekspert w milczeniu wskazał na prawy górny róg monitora, obok którego umieszczony był przełącznik.

– Zaczynamy! – powiedział w skupieniu.

Pierwsze odcinki łąk nie wykazały żadnego obrazu, który mógłby sugerować obecność zwłok, zakopanych pod bujną trawą. Minęła godzina. Potem druga. Szczęsny nerwowo przygryzał wargi. Gniazdowski wyraźnie martwił się: oto rzadka okazja pracy z termowizorem nie daje rezultatów. Pułkownik zaczął wątpić w dwie rzeczy; w to, że Brodzki nie żyje, i w to, że termowizja jest rzeczywiście przydatna w kryminalistyce. Być może zresztą – poprawił sam siebie – lepiej ją stosować w innych sytuacjach. Powiedzmy, przy zdalnej obserwacji człowieka, ukrywającego się na przykład w...

Dalsze jego rozmyślenia przerwał podniecony okrzyk docenta:

– Jest! Nawet dosyć wyraźny.

– Gdzie jest? – spytał Szczęsny, miał na myśli miejsce na łące. O co innego spytał komendant, który na próżno usiłował wypatrzeć zwłoki na monitorze. Ekran dawał obraz jakichś barwnych plam i kształtów, dla niewprawnego oka nic niemówiących.

– Dość duży rozkład zwłok – powiedział ekspert. – Może utrudnić identyfikację.

– Jak pan to stwierdził? – zaciekawił się Andrzej.

– Zmiana emisji promieniowania podczerwonego i temperatury gruntu. Nowe substancje chemiczne, inna pojemność i przewodność ciepła. Majorze, to będzie tam, obok tej kępy krzaków – wskazał ręką. – Sześćset metrów w linii prostej. Jedźcie wolno waszymi wozami, a ja będę was naprowadzał, póki głos doniesie.

– Widzę krzaki. – Pułkownik dopasowywał obiektyw polowej lornetki. Jedziemy.

Trawa w miejscu oznaczonym przez eksperta tak zupełnie nie różniła się niczym od wszystkich traw dokoła, że Gniazdowski już na zapas zmartwił się myślą o idiotycznej pomyłce. Żadnych najmniejszych śladów jakiegokolwiek kopania, gładka, puszysta zieleń.

– To na pewno tu? – mruknął z powątpiewaniem. – Aż się nie chce wierzyć.

– Spróbujemy – rzekł Szczęsny.

We dwóch z Andrzejem zabrali z bagażnika łopaty, na trzeciego przyłączył się kierowca z komendy, któremu znudziło się siedzieć w samochodzie i patrzeć. Ostrza rozcięły trawę, odkładając na boki kawały darni, potem ziemi, coraz głębiej i głębiej...

Pierwszy zorientował się doktor Pawłowski. Pociągnął nosem, zmarszczył go i powiedział:

– Teraz ostrożnie! Żeby nie uszkodzić twarzy.

Kiedy odrzucili ostatnie grudy ziemi, przykrywające ciało zakopanego człowieka, pułkownik odszedł do radiowozu, połączył się z komendą i zażądał sprowadzenia ambulansu, fotografa oraz naczelnika wydziału kryminalnego. Rzecz działa się na jego terenie, musiała więc być odnotowana, sfotografowana i co tam trzeba, niezależnie od przedstawicieli Komendy Głównej.

– Brodzki? – spytał ekspert, kiedy ciężarówka z AGĄ podjechała do stojących. Był dumny z efektów działalności termowizora, ale starał się tego zbyt mocno nie okazywać.

Szczesny usiłował porównać trzymane w ręku zdjęcia z tym, co pozostało w ziemi. Na fotografiach głowa Brodzkiego, mężczyzny czterdziestokilkuletniego, przypominała błyszczącą kulę bilardową, ozdobioną skąpym wianuszkiem ciemnych włosów. Naczelnik z „Malwy” miał długi, lekko zagięty nos, pełne usta, oczy bystro patrzące koloru nieokreślonego, gdyż zdjęcia były czarno-białe. Twarz gładko wygolona, na lewym policzku ledwie widoczne znamię ciemnej barwy.

Natomiast tu w dole, u stóp majora, znajdowała się jakaś bezkształtna maska, w której z trudem można było domyślić się ludzkiej twarzy.

– Zmiażdżony nos i kości policzkowe – powiedział komendant. – Uderzano czymś ostrym. Ktokolwiek to jest, popełniono morderstwo i sprawca starannie ukrył zwłoki. Gdyby nie termowizja, może nigdy nikt by ich nie znalazł.

Denat, ubrany był w szary garnitur, zaplamiony krwią i w wielu miejscach poszarpany, podobnie jak koszula. Szczesny westchnął, wciągnął gumowe rękawiczki i wstrzymując oddech ukląkł przy zwłokach. Bardzo ostrożnie, powoli przeszukał kieszenie. Były puste. Nie znalazł nawet chusteczki do nosa ani skrawka papieru, starego biletu, zapalek. Nic.

– Zęby? – Doktor przykucnął z drugiej strony dołu. – Nie pamiętasz, było coś charakterystycznego w rysopisie?

– Dwie metalowe korony z przodu, po prawej. Czwórka i chyba szóstka... Zdaje się, że są. Podniósł się, twarz jego była zszarzała, brwi ściągnięte. Od dawna nie miał do czynienia ze zwłokami w takim stanie. Odszedł na bok, wdychał głęboko wilgotne, czyste powietrze łąk i pobliskiego lasu. Andrzej zapalił papierosa, włożył mu w usta.

– Nie zdejmuj jeszcze rękawiczek – ostrzegł. – Zapomnisz, dotkniesz znowu i zakażenie gotowe.

Lekarz wstał również, na razie nie miał tu nic więcej do roboty. Czekala go później sekcja, ale już w innych warunkach.

– Sądziecie, majorze, że to on? – Pułkownik również zapalił i odwrócił głowę od makabrycznego widoku.

– Na razie trudno stwierdzić. Faktem jest to, o czym mówiliście przed chwilą: zamordowano człowieka i ukryto zwłoki. Zastanawia mnie, kim jest autor anonimu.

– O Karczewskiej?

– Nie. Tego, który przesłano nam tydzień temu. Nieznany informator napisał, że Brodzkiego zabito, a ciało zostało schowane na łąkach w pobliżu Czarnkowa.

– Tak, pamiętam. Wspominaliście o tym w radiogramie. Być może oba anonimy pisała ta sama ręka. Przekazę wam ten drugi w celu porównania czcionek maszyny.

– Chcę dziś jeszcze porozmawiać z siostrą Brodzkiego, niezależnie od tego, czy to on tutaj leży, czy nie on. Muszę się zorientować... – urwał, zamyślił się. – Albo lepiej nie. Poczekam na wynik sekcji. Da się to zrobić jeszcze dziś w nocy? Doktor Pawłowski ma znajomych lekarzy w olsztyńskim szpitalu – uśmiechnął się do Janusza. – Nie chciałbym też trzymać długo eksperta i termowizora. Przyrzekliśmy w Instytucie, na wszystko co święte, że odeślemy im „pożyczkę” najpóźniej jutro.

Pułkownik spojrzał na zegarek. Dochodziła szósta po południu.

– Myślę, że tak – odparł. – O, już jedzie nasz ambulans. Zrobiam, co trzeba, i pojedziemy do szpitala.

Za samochodem ekipy technicznej sunęła szara ciężarówka do przewiezienia zwłok. Po wykonaniu zdjęć, szkicu sytuacyjnego, pomiarów – fotograf nie omieszkiał również pstryknąć samochodu z AGĄ-680, zdołał nawet namówić eksperta, aby stanął przed monitorem – można było zakończyć ten etap śledztwa. Dwaj pracownicy zakładu medycyny sądowej z

wprawą przełożyli ciało na folię, zawinęli i umieścili w szarej ciężarówce. Pawłowski zabrał się z nimi.

Choć noce były już ciepłe, docent Kraszewski sprzeciwił się pozostawieniu termowizora w samochodzie na podwórzu komendy. Wniesiono więc go do gabinetu pułkownika. Kiedy wieść o tym poszła po gmachu, coraz to któryś z oficerów znajdował niezmiernie pilną sprawę do komendanta, a jak już wszedł, musiał obejrzeć „szwedzkie чудо”. Słuchali objaśnień eksperta, wzdychali: „Żeby to mieć termowizor w komendzie!” i z niedowierzaniem przyjmowali informację, że czegoś takiego nie posiada nawet Komenda Stołeczna.

Szczęśny wraz z Andrzejem asystowali przy sekcji. Było to zajęcie nad wyraz przykre, lecz miało istotne znaczenie dla śledztwa. Chociaż więc protokoły Pawłowskiego z oględzin i sekcji były zawsze bardzo dokładne, obaj oficerowie chcieli jak najszybciej mieć pewność, że to Brodzki – lub też, że ktoś zupełnie inny.

Dochodziła dziesiąta wieczór, kiedy Janusz zmęczony, z kroplami potu na czole i nosie, odetchnął z ulgą i powiedział:

– Koniec! No, to już wiecie.

– Czym go tak zmasakrowano? – spytał kapitan.

Lekarz popatrzał raz jeszcze na twarz zabitego.

– Ostre, dosyć duże narzędzie... coś takiego jak oskard lub motyka. Niedawno miałem do czynienia z ciałem, które uderzono kilkakrotnie tak zwaną dziabką do okopywania ziemniaków na małej działce podmiejskiej. Rany były podobne jak te.

– Jak długo leżał w ziemi?

– Brodzki? Parę tygodni. Wziąłem próbki gruntu z tego dołu, w protokole napiszę dokładniej.

– W spółdzielni mówiono mi, że wyjechał zaraz, kiedy była ostatnia wolna sobota?

– Szóstego maja. Dziś mamy dwudziesty szósty.

– Więc jeżeli wyjechał piątego wieczorem, jest taki pociąg osobowy do Czarnkowa o dwiętnastej z minutami... Powiedzmy, że na dworcu kogoś spotkał, pociąg przyjeżdża przed północą, i zamiast iść do siostry, poszedł z tym kimś. Tak, to by się zgadzało. Dwa, trzy tygodnie.

Spali we trzech w gościnnym pokoju komendy. Szczęśny przedtem połączył się z Warszawą i z dużą satysfakcją powiadomił szefa o rezultacie współdziałania z termowizją. Szef ucieszył się z wyników i od razu mianował Szczęsnego kierownikiem ekipy, która teraz prowadzić będzie oficjalne dochodzenie w sprawie zabójstwa Adolfa Brodzkiego.

– Weź do pomocy Andrzeja, bo już jest z tobą, i powiedzmy, kapitana Górczaka z Komendy Stołecznej. Oczywiście na miejscu poprowadzą śledztwo koledzy z Olsztyna. Długo chcesz tam jeszcze zostać?

Nie wiem. To zależy... Ale jutro odsyłam termowizor. Wspaniale zdał egzamin! Chciałbym, żeby Andrzej też jeszcze został. Tutaj będzie sporo roboty. W Czarnkowie mieszka siostra Brodzkiego. Rozumiesz, sytuacja rodzinna jest dla mnie trochę niejasna. Muszę zbadać bliżej to środowisko. A jeżeli to jakieś krwawe porachunki pomiędzy siostrą i bratem? Brodzkiego zabito narzędziem, które lekarzowi przypomina motykę lub inny sprzęt rolniczy, może ogrodniczy. Sądzę, że tu, w Czarnkowie, leży klucz do rozwiązania sprawy.

– Zawiadomiliście już tę siostrę?

– Nie. Dopiero pół godziny temu Janusz skończył sekcję. Do tej pory nie było pewności, że to Brodzki. Będę z nią rozmawiał jutro z samego rana. W Czarnkowie jest komisariat, myślę, że od miejscowych kolegów dowiem się niemało o Karczewskiej, tak się nazywa siostra denata.

Mimo zmęczenia Szczęśny nie mógł zasnąć. Do widoku trupów był przyzwyczajony, do sekcji też, inaczej dawno by się wykończył nerwowo. Teraz jednak leżał z otwartymi

oczami, palił i rozmyślał. Nie tyle o samym fakcie morderstwa, ile o motywach. Komu mogło zależeć na śmierci pracownika jakiejś tam spółdzielni, mężczyzny w średnim wieku, ani specjalnie zamożnego, ani powiązanego ze środowiskiem przestępczym, tak przynajmniej można było sądzić. Nie karany, pijący w miarę, po rozwodzie żył samotnie w swoim M-3, żadnych skarg ze strony sąsiadów. To nie było zabójstwo przypadkowe. To była jakaś zemsta, pastwienie się nad człowiekiem, morderstwo z pełną premedytacją. Kto tak zabija? Jeżeli jest tak zwanym normalnym człowiekiem, a nie typem patologicznym, zwyrodnialcem, to musiał mieć – w jego rozumieniu – istotny powód zbrodni. Takiej zbrodni.

Nie był sam. Wykluczone. Trzeba było nie tylko zabić, ale wykopać blisko metrowej głębokości dół. Jeden kopał, drugi świecił latarką. Trzeci siedział za kierownicą samochodu, na szosie. Trzech co najmniej. Gang przestępczy? Dintojra...

– Wiem, że nie śpisz – odezwał się Andrzej. – Myślisz o motywach.

– Ty też.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI